



JÓZEF HEN

## Józef Hen

(ur. 1923) – powieściopisarz, publicysta, dramaturg i scenarzysta. Autor powieści i zbiorów opowiadań (m.in.: *Kwiecień*, 1961; *Nikt nie woła*, napisana w roku 1957, wydana w 1990; *Przed wielką pauzą*, 1966; *Opór*, 1967; *Oko Dajana*, opublikowana we Francji w latach 1969-1972 pod pseudonimem Korab; *Bokser i śmierć*, 1975; *Milczące między nami*, 1985; *Odejście Afrodyty*, 1995; *Niebo naszych ojców*, 1997). Publikował także powieści historyczne (*Crimen*, 1975; *Królewskie sny*, 1989), książki wspomnieniowe (*Nowolipie*, 1991; *Najpiękniejsze lata*, 1996), biograficzne (*Mój przyjaciel król. Opowieść o Stanisławie Augustcie*, 2003) oraz trzy tomy dzienników *Nie boję się bezsennych nocy* (1987, 1992, 2001). Józef Hen jest autorem scenariuszy do filmów, m.in. *Krzyż Walecznych* i *Prawo i pięść*, oraz seriali *Życie Kamila Kuranta* i *Królewskie sny*. Jego utwory tłumaczono na osiemnaście języków. W 2008 roku Wydawnictwo W.A.B. wznowiło głośną biografię Tadeusza Boya-Żeleńskiego *Błazen – wielki mąż*, uznaną przez ZAiKS za najlepszą książkę 1998 roku, a w 2009 – bestsellerową biografię *Ja, Michał z Montaigne...* W 2008 roku ukazała się najnowsza powieść, *Pingpongista*. W 2009 roku Józef Hen otrzymał Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy.

# Dziennik na nowy wiek

Wydawnictwo  
ab  
two

Józef Hen to znakomity obserwator i świetny pisarz,  
który nie moralizuje, nie unosi się i nie krzyczy.  
Zawsze chce zrozumieć. I zawsze robi to z klasą.  
„Dziennik”

Fortuna  
Fatim

JÓZEF HEN

# Dziennik

PETER GREEN Aleksander Wielki  
JACKIE WULLSCHLÄGER Andersen. Życie baśniopisarza  
PATRICIA BOSWORTH Diane Arbus  
ALBERT SCHWEITZER Jan Sebastian Bach  
STEFAN ZWEIG Balzac  
GEORGE R. MAREK Beethoven. Biografia geniusza  
JÓZEF HEN Boy-Żeleński. Błazen – wielki mąż  
JONATHAN WILSON Marc Chagall  
ROBERT HUGHES Goya. Artysta i jego czas  
JULIA BLACKBURN Billie Holiday  
MYRA FRIEDMAN Janis Joplin. Żywcem pogrzebana  
IMRE KERTÉSZ Dossier K.  
BENEDETTA CRAVERI Kochanki i królowe. Władza kobiet  
ROBERT HARVEY Libertadores. Bohaterowie Ameryki Łacińskiej  
MICHEL HOUELLEBECQ H.P. Lovecraft. Przeciwn światu, przeciw życiu  
MAURIZIO VIROLI Uśmiech Machiavellego  
FRANCIS WHEEN Karol Marks  
JÓZEF SZCZUBLEWSKI Modrzejewska. Życie w odsłonach  
PASCAL BONAFoux Monet  
JÓZEF HEN Ja, Michał z Montaigne...  
NORBERT ELIAS Mozart. Portret geniusza  
ATLE NÆSS Munch  
HENRY GIDEL Picasso  
FRANÇOIS ROSSET, DOMINIQUE TRIAIRE Jan Potocki  
GERHARD GNAUCK Marcel Reich-Ranicki. Polskie lata  
JÜRGEN TRIMBORN Riefenstahl. Niemiecka kariera  
STEPHEN GREENBLATT Shakespeare. Stwarzanie świata  
JÓZEF SZCZUBLEWSKI Sienkiewicz. Żywot pisarza  
JAN ZIELIŃSKI Słowacki. SzatAnioł  
WIKTOR SZKŁOWSKI Lew Tołstoj  
FRANTZ VAILLANT Rolad Topor. Zduszony śmiech  
JULIA FREY Toulouse-Lautrec  
CHARLES NICHOLL Leonardo da Vinci. Lot wyobraźni  
VICTOR BOCKRIS Andy Warhol. Życie i śmierć  
BOGUSŁAW KIERC Rafał Wojaczek. Prawdziwe życie bohatera

JÓZEF HEN

# Dziennik

2000–2007

Copyright © Józef Hen, 2009  
Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

## Spis rzeczy

2000	7
Styczeń 9 Luty 13 Marzec 19 Kwiecień 25 Maj 33 Czerwiec 43 Lipiec 47 Sierpień 51 Wrzesień 55 Październik 60 Listopad 64 Grudzień 70	
2001	76
Styczeń 76 Luty 78 Marzec 82 Kwiecień 89 Maj 93 Czerwiec 99 Lipiec 101 Sierpień 108 Wrzesień 109 Październik 112 Listopad 114 Grudzień 116	
2002	122
Styczeń 122 Luty 129 Marzec 133 Kwiecień 136 Maj 137 Czerwiec 140 Lipiec 142 Sierpień 146 Wrzesień 149 Październik 151 Listopad 154 Grudzień 156	
2003	160
Styczeń 160 Luty 164 Marzec 167 Kwiecień 172 Maj 174 Czerwiec 176 Lipiec 181 Październik 188 Listopad 194 Grudzień 199	
2004	206
Styczeń 206 Luty 209 Marzec 220 Kwiecień 224 Maj 228 Czerwiec 235 Lipiec 237 Sierpień 245 Wrzesień 255 Październik 258 Listopad 264 Grudzień 269	
2005	286
Styczeń 286 Luty 290 Marzec 292 Kwiecień 294 Maj 300 Czerwiec 308 Lipiec 313 Sierpień 316 Wrzesień 321 Październik 323 Grudzień 325	

2006	326
Styczeń 326 Luty 331 Marzec 335 Czerwiec 336	
Lipiec 343 Sierpień 346 Wrzesień 351 Październik 358	
Listopad 362 Grudzień 364	
2007	373
Styczeń 373 Luty 387 Marzec 393 Kwiecień 395	
Maj 399 Czerwiec 405 Lipiec 410 Sierpień 421	
Wrzesień 426 Październik 429 Listopad 437 Grudzień 440	
Północ. Zaczął się rok 2008	447
Postscriptum (Rękopis znaleziony w szufladzie)	
Dziennik 1968	451
Lipiec–marzec 461	
Indeks tytułów	467

Rok 2000 – czy to wiek dwudziesty czy dwudziesty pierwszy? Arytmetycznie nie ma wątpliwości: zamyka się w ten sposób całe tysiąclecie. Ale popatrzmy na cyfry. Na ich obraz. Jaki sugestywny! Zaczyna się nowy wiek, niewątpliwie.

O rok 2000 zahaczyłem już poprzednio, w księdze trzeciej *Nie boję się bezsennych nocy*. Pisałem, że przed wojną oglądałem angielski film pod takim właśnie tytułem – *Rok 2000* – czysta fantazja, oczywiście według Wellsa. Wysoko cywilizowane państwa prowadzą ze sobą wojnę lotniczą. Miasta aseptyczne. Pudła ze szkła i aluminium. Panowie w białych tunikach. To wtedy Słonimski zauważył, że kiedy fantazjuje się o przyszłości, przede wszystkim likwiduje się spodnie. Twórcom tego filmu rok 2000 wydawał się tak odległy, że zobaczyli inną rzeczywistość – jak z dziwnego snu. Ciekawe, czego ani Wells, ani twórcy filmu nie przewidzieli, nie przyszło im to nawet do głowy. Nie przewidzieli szlachetnie obdartych hipisów, szalów kultury masowej, Woodstock i Orkiestry Świątecznej Pomocy, tatuaży i kolczyków, islamskich samobójców, zakodowanych drzwi, telefonów komórkowych, komputera, więc i laptopa, na którym ja, niewolnik i czciciel wiecznego pióra, będę przepisywał te notatki.

Co teraz? Zacząć. Przepędzić strachy. Żadnych „ale po co? ale dla kogo?” To się okaże. Decyzja została podjęta.

Odwagi!



## Styczeń

Sam w domu. Rena u siostry we Wrocławiu. Słyszała, że Ritka jest chora, oboje postanowiliśmy, że powinna w tych dniach być u niej. (W czerwcu 1941 roku, kiedy do Lwowa zbliżali się Niemcy, Rena porwała o cztery lata młodszą siostrę do pociągu ewakuacyjnego – i tak uratowała jej życie. Reszta rodzeństwa, pięcioro ich było, zginęła z rodzicami.) Ja jestem stale w otoczeniu bliskich lub co najmniej blisko bliskich – trochę samotności dobrze mi robi.

Telefon z życzeniami od Ludwika Stommy z Szampanii. (Huragan zerwał im gonty, dwa dni byli bez prądu i wody.)

Przeglądanie starych listów. Są trzy od mojej Mamy – krótkie, zawsze z jakąś pretensją (umotywowaną). Czekaliśmy wtedy na ojca, wciąż mieliśmy nadzieję, że żyje. Byli nawet tacy, którzy zapewniali, że go widzieli, miał dwie mocno wypakowane walizki i szykował się do powrotu. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że zamordowano go w Buchenwaldzie. I to na dwa tygodnie przed wyzwoleniem. List Stelli z pretensjami do Mamy. Bez sensu. List zniszczyłem.

W podsumowaniach literackich ubiegłego roku nie wymienia się książki o Boyu. A przecież była to świetna sprzedaż, zbliżamy się do ośmiu tysięcy. Pan Władysław Żeleński, bratanek Boya, ucieszony powodzeniem tej książki, teraz, kiedy wchodzi w setny rok życia, dzwoni do mnie z Paryża. „Doczekałem się!” Po chwili: „Ma Boy szczęście, że trafił na pana”. Trudno o wyższy komplement.

Znowu nad listami. Jakże byliśmy młodzi, jakże ufni. Autorzy tych listów – szczególnie ja, lekkomyślny debiutant – pojęcia nie mieli, co ich czeka, jak ułoży się ich życie, jakie dzieła będą ich reprezentować. Jaka będzie Polska. (Chociaż pewne postawy raczej przewidywałem.)

Osobowości były już zaznaczone – to nawet zadziwiające, do jakiego stopnia – tylko jeszcze nieobciążone bagażem, który miał narzucić Czas. Proust wiedział, dlaczego pisze to słowo wielką literą.

Noworoczne przeglądanie notatek. Rok 1986, sierpień. Coś o „stoliku”. Prawie komplet – wokół Konwickiego. Omawia się ciepłe powiewy w polityce kulturalnej. Może złudne... Za to na uniwersytecie nic się nie zmienia. Jest, jak było.

Oni mogą to wytłumaczyć po marksistowsku – mówię do Tadzia. – Że uniwersytety to dla władzy „baza”, coś zasadniczego, a kultura to tylko „nadbudowa”, można sobie pozwolić na większy luz.

Konwa kiwa głową na znak zgody. Irenę Sz. irytuje, że partia wciąż się boi uruchomienia PEN Clubu. Hałastrą literacką, mówi, czuje się zagrożona. Rzecz w tym – dodaje – że oni są niezdolni i wiedzą o tym.

– Może są wśród nich i zdolni, nawet na pewno – ja na to – ale są pisarze, którzy nie zasługują na to, żeby być zdolnymi.

Holoubek: – Zapisz to, Józiu, zapisz to koniecznie!

Nie muszę tego zapisywać, nie zapomnę, bo jest to moja dawna formuła. Ale skoro Holoubek nakazał... Zapisane.

(W powieści *Odejście Afrodyty* Stach Narbej mówi coś podobnego do bohaterki, tyle że w sposób bardziej wyidealizowany: „Natura powinna odmawiać głupcom i podlecom umiejętności składania słów i twórczej wyobraźni”. I kiedy indziej: „Są autorzy, którzy nie zasługują na dobre książki przez siebie napisane”.)

Notatka z tego samego roku 1986.

„Koterie wokół czasopism literackich czy nawet kawiarniane przeobraziły się – za sprawą pań – w koterie towarzyskie. Nie napisze się nic krytycznego o Kaziku, żeby nie urazić Marysi, trzeba dać nagrodę Markowi, bo to sprawi przyjemność Ewie, a ona boryka się od pewnego czasu bez gosposi, a wiecie Krysi udało się dostać polędwicę na zapleczu sklepu dla dyplomatów. Coś takiego powiedział, no popatrz... nie puszcę drania przez próg. Co, jego? Nie czytam. Skreślony. Może sobie pisać co chce – dla mnie nie istnieje. Dyżuruję, tak, na Pivnej. Książd Niewęgłowski bosko mówił.

Dawniej rozdzielano się laurki w salonach, potem w redakcjach i kawiarniach – teraz przy placzkach ziemniaczanych. Czasem przy brydzu”.

Konstancin, ZAiKS. Może uda mi się skupić. Pojawił się Różewicz. Przypomniał, że jestem mu winien szwedzką wódkę. (Założyłem się, że dostanie NIKE, nie dostał, ale spadł na niego deszcz innych nagród i mnóstwo wspaniałych omówień.) Dobrze sobie gwarzymy.

Wczoraj pani A., tłumaczka i bardzo stara kobieta, która często obsypywała mnie komplementami, czasem miała uwagi krytyczne, raczej przenikliwe, napadła na mnie: „Niech pan się ode mnie odczepi! Pan Marianowicz powiedział, że jeśli będę miała przykrości, to on mnie przed panem obroni!” O co chodzi? „Niech pan do mnie w nocy nie puka!” Jestem zdumiony, zaprzeczam, ale nic nie pomaga: pukam do niej i już. Nastają na jej dziewiczość. Przede mną, wyjawia mi pani kierowniczką, pukał do niej pan Leszek K. Ale w tym turnusie go nie ma...

Rano opowiadam o tym przez telefon Zosi, z którą znamy się ponad dwadzieścia lat. „Widzisz – mówię – jakie masz szanse. Mężczyźni będą do ciebie pukać”. „Miejmy nadzieję, że nie dożyję”.

Epizodyczny typ do książki (lub komedii), znany mi z życia: lajdak, który ma za złe autorowi, że tak czarno widzi ludzi i jest pesymistą. Skąd u pana takie czarnowidztwo? Ludzie nie są tacy źli, jak pan ich widzi.

We wtorek byłem w domu. I dobrze, że byłem. Gazownicy spawający rury na klatce schodowej spalili przewody elektryczne. I teraz – ani gazu, ani prądu.

Wieczorem telefon z Paryża. „Tu Giedroyc”. W Paryżu mówi się, że ukazał się duży esej zestawiający Boya z Dmowskim – czy ja coś o tym wiem? Nie, nic nie wiem, ale wydaje mi się to trochę dziwne. „Mnie też – mówi pan Jerzy. – Ale z tymi wariatami to nic nie wiadomo. Jeśli pan się czegoś dowie, proszę do mnie zadzwonić”. Obiecuję.

„Niepokój domowy mam zapisany w trzewiach” – chyba w ten sposób napisał o sobie Montaigne. To ja. Moje dzieci wydają mi się inne – nie mają takiej maniackalnej potrzeby pewności, że w domu wszystko pod ich nieobecność jest w porządku. Bo wierzą, ufają – i tę ufność zawdzięczają nam, rodzicom. Są pewne, że każdy pojawi się w domu zdrowy i cały. Do głowy im nie przychodzi (na szczęście), że mogłoby być inaczej. Co innego ja: mnie trawi niepokój. Nie mogę wtedy skupić się na pisaniu. Żeby pisać – oddawać się czynności tak egotycznej – muszę mieć pewność, że wszyscy, od których uciekam w pisanie, są na miejscu.

Notatka z 1989 roku. O wiecznych wyrzutach sumienia. Wobec psa, że niewyprowadzony na dwór. Wobec Maryli T., że chora, pięć operacji, ja się nie odzywam, ona „dogorywa” (jak pisze) w tęsknocie do Warszawy w jakimś obcym Sztokholmie. I znowu wydaje mi się, że ja jestem winien – bo pracuję nad jakimś nowym tekstem, winien – chociaż prawie jej nie znam. (Czytam to teraz, po 11 latach. Maryla T. bez zmian, raczej wesolutka.)

Wszystkie nieszczęścia świata powodują śwędzenie sumienia. Że nie współcierpię, jak wypada, nie poszczę, nie bicząc się, tylko... no tak, myślę o własnym bólu.

Nawet wobec osoby, która skrzywdziła, uderzyła dotkliwie – niepewność, czy to nie ja krzywdziłem, a może za ostro... nazbyt zasadniczo... bo jednak to niezupełnie tak... A może... Jakiś podkradający się niepokój... jakaś bezsenna noc...

Fromm (w *Ucieczce od wolności*): „...rządy sumienia [własnego] mogą stać się nawet surowsze od rządów autorytetów zewnętrznych...”

O ten temat zatrącam. Tylko zatrącam. Jest on zawsze obecny, goni mnie, ale ja – prawdę mówiąc – od niego uciekam.

„A gdybym zaczął mówić wszystko? Naturalnie, że boję się. Boję się ludzi, bo po co ofiarowywać im siebie z całą swoją słabością, grzechem i zgryzotami, jaka z tego byłaby korzyść? Jeszcze jeden przyczynek do tak zwanej psychologii twórczości?”

To nie ja – to Miłosz, w *Roku myśliwego*. Myśl zasadnicza. Może nie stale towarzysząca, bo zdemolowałaby wszelką spontaniczność, ale często obecna, wspólna wszystkim, którzy pochylają się nad kartką papieru, by zanotować coś, co doskwiera.

Edward, spowiadający mi się ze swojego niewygasłego uczucia do t a m t e j, zaskoczył mnie wyznaniem, które jej przekazał (nie wiem, czy potrzebnie):

„Kiedy oczy mnie nie zapiekły, kiedy przestałem odczuwać ból, kiedy myślałem o tobie ze spokojem, jak o kimś, kto się ode mnie oddalił – ogarniały mnie wyrzuty sumienia – czułem się tak, jakbym cię zdradził.

Bo to był, wydawało się, mój obowiązek; odczuwać ból, rozpaczać...”

Edward (stale o tym):

– Właściwie człowiek realizuje swoją wspólnotę z ludźmi, swoją więź z nimi – głównie przez miłość. Pomyśl: kochasz osobę obcą – wyrosłą

wśród innych ścian, u innych okien, wśród innych mebli, sztuków, ręczników, z innymi pogwarkami i porzekadłami, z innym przebudzeniem i innym zasypianiem. Nigdy nie przestanę się temu dziwić. I oto uczucie rozpierające pierś. Cóż, że pełne złudzeń. Żywimy przecież i inne złudzenia. Yehudi Menuhin mówi w wywiadzie, bez skrępowania: „Zawsze byłem w kimś zakochany”. Och, tylko nie mów, że kobiety na to nie zasługują. Spróbuj.

Potrafi myśleć i w inny sposób. Kiedyś powiedział mi (a ja zapisałem):

– Szczęśliwy czasem się czuję, że nie miałem tych kobiet, które wiele lat temu urzekwały mnie lśnieniem młodych oczu, wdziękiem gibkiej postaci, uśmiechem, który czarował rozkwitem warg – więc dobrze, że nie miałem tych uroczych postaci, bo pozostały urocze jak niespełnione marzenie – i nie obnoszą teraz swojej zasmucającej zwiędłości, złych przemian, jakie uczynił w nich czas i zmartwienia. Dobrze, że ich nie miałem: nie muszę się lękać spotkania z nimi. Nie muszę też hodować żadnych żalów. Możemy rozmawiać – i to całkiem przyjaźnie.

*Rodzinna Europa*. Inaczej czyta się książkę, którą dostało się na trzy dni, ukradkiem, od przyjaciela, co przemycił ją z Paryża, inaczej, kiedy masz książkę na własność, więc czytasz ją bez pośpiechu, już bez dreszczu, że zostałeś dopuszczony do czegoś tajemnego. To odbiera książce smak nie tyle zakazanego owocu, ile czegoś odświętnego, pozbawia lekturę obrzędowości, poczucia, że się jest wybrańcem. Książka składa się już tylko z materii słownej, którą możemy aprobować, podziwiać nawet (lub nie), a nie z tajemnych znaków, z sygnałów rozświetlających ciemną drogę.

To samo dotyczy zapewne czytania Herlinga-Grudzińskiego, Stempowskiego i kilku innych autorów. Czytelnik wydaje ich książki w dużych nakładach, pospolitując je, pozbawiając nimbu.

Czasopisma niegdyś nielegalne, bibuła, różne marnie powielane „Kultury Niezależne”, wciąż z nawyku gromadzone. No i po co? Nic mi za obcowanie z nimi nie grozi – więc po co to trzymać?

## Luty

I znowu *Rodzinna Europa*: niby inaczej, ale jednak z poczuciem obcowania z czymś bliskim i ważnym, z osobowością, która budzi szacunek, a nieraz i wdzięczność. Sięgam do dawnych notatek i widzę zapis: „trzecie czytanie”. Dopisuję teraz: „czwarte czytanie”.

Zwiera się Miłosz, że pogodzenie z życiem, poczucie wspólnoty z Europą, przynależność śródziemnomorską odczuł w „moich” okolicach: nad rzeką Dordogne, koło Perigueux i Saint-Emillion. Nie pada nazwisko Montaigne’a, nie wspomina jego wieży, ale przedtem mówi o Francji jako o „kraju Montaigne’a”.

Przyznaje się do tego czy nie, ale jest to u niego odczucie nowe. Utwierdziło się ono w nim po ucieczce z Polski, wybraniu Zachodu, co nie było decyzją łatwą. W którymś z listów do Giedroycia napisał o swojej „znanej ogólnie rusofobii”. To chyba żart. Nic takiego w nim nie było. Można mu za to przypisać „kompleks Rosji”, jej literatury, obyczajowości, prawosławia, policyjnych porządków. Miał kłopoty ze sobą, z Miłoszem jako „człowiekiem Wschodu”.

Dlaczego bliższa mu się stała lewica? Popchnął go do niej nie „marksizm” – co mu przypisywała niechętna, a czasem wręcz wrogo nastawiona emigracja – ale „mój opór wobec narodowych obskurantów, przeznaczenie ukryte w komórkach mego ciała: jednostki tak czy inaczej wyłączonej ze środowiska, [...] muszę mój konflikt uogólniać – tłumaczy nam mędrzec – bo kiedy jest nie tylko własny, ale bardziej powszechny, przestaje poniżać”.

Wcześniej wyznał: „Moje uczulenie na wszystko, co ma zapach «narodowy» i rodzaj fizycznego wstrętu do ludzi wydzielających ten zapach zaważyło silnie na moich losach”.

Jego „pozycja zewnętrzna”, jak to określa (zewnętrzna dzięki matce ze wsi litewskiej), pozwala mu „wniknąć w literatów pochodzenia żydowskiego, bo oni też stali przed zamkniętą bramą”. Czytam uważnie: „Mieliśmy wspólną ojczyznę: język polski. Ale oni wysilali się, żeby bramę sforsować, żeby nadać swoim dziełom wygląd ultrasłowiański, prawie nikt nie obnażał swojego rozdwojenia, nosili sztywne maski i te maski ich gniotły”.

Nie, mnie to nie dotyczy. Nigdy mi w głowie nie powstało, żeby zadbać o jakąś „słowiańskość”. Jestem jaki jestem i kropka. Ale przecież napisałeś *Crimen, Przypadki starościca Wolskiego, Królewskie sny* – może ktoś powiedzieć. Zjawił się nawet u mnie w domu taki ktoś, przedstawił się jako dziennikarz, rzekomo po wywiad, i dość bezczelnie dał do zrozumienia, że w kręgu jego znajomych dziwią się, że ja piszę o szlachcie. Dlaczego to robię? – Bo to świetny temat – odpowiedziałem. Dla pisarza temat to kwestia najważniejsza. Temat go odszukuje. André Maurois (prawdziwe nazwisko Herzog) napisał wspaniałe *Dzieje Anglii*. Bo to był jego temat. I Anglicy pokochali tę książkę.

Miłosz: „Na długiej liście moich przywar nie umieściłbym cynizmu. Pochwalałem, mimo wszystkich jego okrucieństw, mój czas i nie chciałbym żyć w żadnym innym. Nie tęskniłem też do społeczno-gospodarczego porządku w Polsce sprzed wojny [ci z Londynu tęsknili i to wyznanie Miłosza mogło im się wydać propagandą komunistyczną] i kto marzył o jego wskrzeszeniu, był moim przeciwnikiem”. Stąd też ta „silna niechęć do przywódców AK”. Według nich „jutro musiało być świetlane, ale ktokolwiek odważał się napomknąć, że zależy ono od form ustrojowych i międzynarodowej rozgrywki, narażał się na niebezpieczeństwa nie zawsze platoniczne”.

Ale oto niespodzianka – przykra – której pisarz nie przewidywał: na jego *Zniewolony umysł* powoływali się amerykańscy rasiści. „...wycinki prasowe z Alabamy, Georgii czy Południowej Karoliny wykrzywiały mi twarz: tamtejszy dziennikarz podawał mnie za sojusznika, a ja sądziłem, że występując przeciw upodleniu człowieka już tym samym jestem sojusznikiem jego Murzynów. [...] Potępia nas albo ocala intencja”.

Przeskoczę do Nobla i do zwierzenia, na które zdobył się (brać przykład!) w *Roku myśliwego*. Przyznaje, że cały pobyt w Polsce, w 1981 roku, powrót po trzydziestu latach, to: „Niesamowity triumf, moralna przypowieść, baśń: mądrzy bracia przegrali, wygrał głupi Jaś. Jeżeli w centrum moich namiętności było pisarstwo (a było), jeżeli w centrum pisania jest potrzeba uznania (a jest), powrót do Polski w sławie był szczytem mojej biografii”.

To dobrze, imponujące nawet, że Miłosz odważył się na szczerość – nie udawał, nie krygował się, podzielił się z nami swoją radością, poczuciem triumfu.

Nie musiał. Szczerość nie jest warunkiem koniecznym dla tworzenia wartościowej literatury. Ani, jak mogliśmy się przekonać, dla wartościowej politycznej działalności. Szczerość nie jest opozycją kłamstwa; opozycją kłamstwa jest prawda. Życie nie każe nam mówić wszystkiego, wystarczy, jeśli jesteśmy dyskretni, taktowni. Takt – tego ja bym się naiwnie domagał, gry fair, dżentelmeństwa. I nie uważam się bynajmniej za idealistę. E.T., niebieskooka asystentka na wydziale psychologii, opowiadała kiedyś o tym, jak rozmawiała o mnie ze swoim profesorem, którego przedstawiała jako przewodnika życiowego (w dzisiejszej polszczyźnie: guru). Profesor był jej zdaniem atrakcyjnym mężczyzną: bródka, golf, fajka, gęste włosy opadające szronem na czoło. Częstoował ją kawą, mówił „dziecinko”. (Być może, profesor nie istniał, E.T. bawiło konstruowanie rzeczywistości.) Otóż pan profesor, pykając z namysłem fajkę, miał mnie komplementować, że moje

pisarstwo jest „szczerze”. „Szczerość – powiedziałem, chmurniejąc – nie jest kategorią literacką”.

Wolałbym, żeby dostrzegł u mnie kilka dobrze napisanych zdań.

Kapryśna pamięć podsuwa czasem zapisywawczowi not nieoczekiwane prezenty – przypomniała mi się dyskusja na ten temat w radzieckiej prasie literackiej, dawno dawno temu, bo w kilka miesięcy po śmierci Stalina. Dlaczego mi się ona tak wpisała w archiwum mózgu? – pewnie dlatego, że wyczuwało się wtedy pierwsze, delikatne jeszcze, powiewy ciepła, pierwsze oznaki tego, co nazwano (sięgając do określenia z początków panowania Aleksandra II) „odwilżą”. (Niewielką powieść pod tym właśnie tytułem napisał Ilja Erenburg, szybko ją u nas wydano, tłumaczył Jan Brzechwa.) W miesięczniku „Nowyj Mir” ukazał się obszerny szkic pt. *O szczerości w literaturze*. Autor? Autor? Mam: Liwzyc, ceniony literaturoznawca. Liwzyc, podbudowując swój wywód licznymi cytatami, zaatakował literaturę radziecką za brak szczerości. Na tym, twierdził, polega jej słabość. (Dziś myślę, że chodziło mu o zakłamanie, ale jak o tym napisać wprost – kłamaliście, oszukiwaliście ludzi i siebie – trzeba posłużyć się jakimś bardziej wysublimowanym pojęciem.) Czytelnicy przyznawali Liwzycowi rację: tak, tak, święte słowa, brak szczerości, otóż to.

W dyskusji zabrał głos Ilja Erenburg. Polemizował ze stanowiska racjonalisty. Ależ szczerość o niczym nie decyduje! Weźmy, mówił, Nikołaja Niekrasowa, autora pełnego współczucia dla ludzi pokrzywdzonych poematu *Komu się na Rusi dobrze dzieje*. Przecież ten poeta to był kawał drania: karciarz, szuler, oszust, a poemat jest humanistyczny, ocieka dobrocią. Ważna jest wymowa, intencja, siła artystyczna, a nie to, czy autor, sławiąc dobro, sam był aniołem dobroci. I drugi przykład: reakcyjny publicysta Katkow. Ten na pewno w swoim polakożerstwie i żydożerstwie, w głoszeniu nienawiści, był szczerzy. Czy mamy go za to szanować? My tu, w dzisiejszej Polsce, potrafilibyśmy wymienić niejednego szczerego głosiciela nienawiści, może nawet w sutannie księżowskiej, szczerego też w swojej chciwości, kabotynizmie, megalomanii, którym nie potrafi się oprzeć, szczerzy aż do samoogłupienia. (A niewykluczone, że jest po prostu głupi.) Co do szczerości innych przesławnych nienawistników nie jestem przekonany, nie mam zdania, wydaje mi się, że powoduje nimi przede wszystkim interes.

Winston Churchill, wspominając w swoich pamiętnikach konferencję Wielkiej Trójki w Teheranie (1943): „W czasie wojny prawda jest tak cenna, że powinna być otoczona ochroną z wielu kłamstw”.